

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 18 listopada 1916 roku.

Nr 47.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARJERY.

3

I płyną pieśni, jedna po drugiej...
Płyną czarem fal, w daleką przestrzeń wód, hen! ku niebu — te wyniszone przez nie mającego nic wspólnego z ziemią boskiego Szopena strofy: „Gdybym ja była słoneczkiem na niebie, nie świeciłabym, jak tylko dla ciebie“.

A potem żali się z cudną chmurką na czole, z figlarnością pół dziecka, pół aniolka — „Jego dotąd nie ma, a duszyczka roi; wciąż mój przed oczyma, jak zaklęty stoi! Przyjechał miał w piątek, a dziś już sobota. Zawód na początek — piękna mi robotka“.

„Ach! Jak kocham mamę,
Otworzyli bramę,
Kasztanek na przedzie“...

I z cudnym komizmem urwała piosenkę:

„Ach! To proboszcz jedzie!“

Nieruchomy, cały jakby w ekstazie kontemplacyi, wpatrzony w nią nieprzytomnie — zdaje się błagać ją oczami:

— Nie, nie! Jesteś zbyt piękną. Po co aż tyle czarów! To staje się poprostu męką.

— Spójrz na niego! — urągały duenny Hela i Lola. — Przemienił się w ślup soli.

— Panie Henryku, proszę nie kołysać tak czółnem; pan nas wyróci.

— Boi się pani?

— Nie. Z panem nie boję się niczego.

Oczy ich skomentowały dokładnie ten dyalog, brzmiały jaknajwyraźniej:

— Nie. Bo cię kocham.

— To dobrze. Bo i ja bez ciebie nie mógłbym żyć.

— Jestem twoją na wieki.

Czasami grywali w kroieta; nie znano jeszcze wtedy po wsiach tenisa. Irena podczas gry stawała się nieznośną; zapalała się, formalizowała każde uderzenie, kwestyonowała każdy ruch przeciwnika. Wszystko było dla niej nieprawidłowe, niesprawiedliwe. A tak cudną była w czerwonej kretonowej sukience, z rozgrzaną twarzą, z iskrzącymi, szafirowymi oczami i hebanowemi włosami w nieładzie, że on — rozbawiony, oczarowany — drażnił ją umyślnie, aby mózgiem napawać się tym jej cudnym głosem rozgniewanym, który brzmiał, jakby podwójnem tonami najharmonijniejszych akordów.

— Ostatni raz gram dziś z panem, jak mamę kocham — rzucała za każdym razem kij i kule — ta pańska wygrana była zupełnie niesprawiedliwa. Jak mamę najszybciej kocham. Czemu mi się pan tak przypatruje? — pytała z kokieterią, pewna najzupełniej powodu.

A oczy jego odpowiadały:

— A czy pani wiesz, że ja cię kocham dlatego, że jesteś tak nieznośną.

I oczy jej naraz łagodniały, rzucając mu nieśmiało:

— Wiem. I ja także. Ty niedobry, paskudny...

— Więc nigdy nie będzie już pani grała ze mną w kroieta?

— Nigdy w życiu. Chyba, że... jutro! — biegli olśnieni rajem życia

na ziemi z trzepotem młodzieńczych skrzydeł, zziębnięci, zmęczeni, z wilczymi apetytami na podwieczorek.

Kiedy nastąpiły niepogody; bując wśród deszczu po ogrodzie nie można było — wieczorami w pałacu odbywać się koncerty.

Irena, pomimo zalecanego przez nauczycieli wakacyjnego odpoczynku — śpiewała. A wszyscy dokoła oceniali ten jej talent, nie dla rozrywki i zabawki przeznaczony, ale mający być deską zbawienia całej rodziny. Matka, o cytrynowej, zmiętej twarzyczce, zbiedzona niefortunniemi przedsięwzięciami i tułaczką po obcych kątach — wsłuchiwała się w ten głos, który miał zapewnić wreszcie dach nad głową i kształcenie młodszych córek, ze wzruszeniem gracza, drżącego o ostatnią stawkę. Poprawiała nerwowo kukiełkę swoich siwych warkoczyczków na wyłysiałej głowie, a małe jej oczka rzucały z po za okularów błędne płomyki.

Sceptycy czynili na stronie różne zarzuty: Głos Ireny był faktycznie dość silny i rozległy, lecz wcale nie tak srebrny, jak się Horskemu wydawał; a w wysokich tonach nawet dość ostry, krzykliwy i tremolujący.

Jak wszystkie duże głosy, był trudny do sprowadzenia wszystkich dźwięków do jednolitości brzmienia. Pomimo muzykalności Ireny, wydawało się, jakby w wysokiej skali detonowała; śpiewała zresztą, jak na salon, ze zbyt wielką emfazą, z zaciekaniem teatralnem i operowem.

Wnioskowano, że właśnie na scenie głos ten wyda się lepiej.

Horski, niemuzyczny od natury — miał wrażenie, że tak powinien brzmieć głos aniołów w niebie. I z trudem powstrzymywał łzy, które na sam dźwięk jej głosu spływały mu z powiek.

Ma przed oczami ten salon z palisandrowymi meblami, krytym; amarantowym utrechtem, z pięknymi weneckimi pejzażami szkoły Guardiogo, czy też Canalettiego w staroświeckich ramach i z długim fortepianem, na którym inkrustowaną masą perłową wrytą była firma: Antoni Hofer.

Pewnego wieczoru, kiedy wszyscy spać się już pokładli, wyszedł do ogrodu, przekonany, że mężczyłby się tylko w łóżku, a oka zmrużyłoby przez całą noc nie mógł.

Wieczór był cudny, księżycowy, z niebem, ubranem miliardem gwiazd, z igrającymi wśród czarnych krzewów błędnymi ognikami brylantowych robaczek świętojańskich — cały skąpany w silnie aromatycznych zapachach świeżo skoszonego siana.

Dokoła rozlegała się zwykła wiejska nocna symfonia: w koncercie tym słychać było rechot żab, szmer lechtanych wiatrem liści, odległe szekotanie jakiegoś psa i cichy monotonny dźwięk folwarcznej harmonijki.

Znany mu na pamięć biały dwór Jędrzejewicki, skąpany w świetle księżycy — srebrzył się — fantastycznie wyolbrzymiały jakiś, ze swoimi kamiennymi schodkami; na ogród.

Cały w kwitnących i dusząco wonnych, różnobarwnych kwiatach z donicami rubinowych geranii na tarasie — wydawał mu się nie z prawdziwego zdarzenia. Jakby to wszystko po raz pierwszy w życiu oglądał.

Bajka, którą żył bez przerwy przez cały ten pobyt swój w Jędrzejewicach, teraz przygotowała się jeszcze wśród nastroju nocy, księżycy, senności i ciszy.

I, jak w transie, błądził bez końca tam i z powrotem pod jej oknami z nierozumowanym instynktem psa, pewny, że to się stać musi...

I nie zdziwił się wcale, dojrawszy po minucie, czy też po kilku godzinach oczekiwania, jej białą postać na schodkach tarasu, która jakby w zamagnetyzowaniu — sunęła na tę nieumówioną przez nikogo nocną schadzke, jak posłuszna sarna, biegnąca wśród nocy na despotyczne, tęskne majowe wołanie jelenia.

— Przyszedł pani? — ścisnął jej ręce i czując przychylną odpowiedź w konwulsyjnym uścisku, zbliżał swoją głowę do jej głowy, usta do jej ust, nie śmiąc ich całować.

— Nie mogłam nie przyjść — określiła powód spełnienia jego niewyrażonej prośby.

W czarownym oświetleniu księżycy z bajki — wydała mu się tak

piękną, z tym alabastrem swojej twarzy, otoczonej hebanem włosów, jak nigdy. Przytem promieniała cała szczęściem; czuł, że go kocha i że nie kochała nikogo przed nim.

Przez pewien czas milczeli, pewni, że w ten sposób najwięcej sobie powiedzą; zresztą przychylnymi swatami ich były drzewa, gwiazdy, szmer owadów i cała natura dokoła. Czuli to doskonale. Poza to nie wiedzieli nic. Zdaje się, że wieczór był chłodny? A może upalny? Czy siedzieli przed pałacem, czy w głębi parku?

Czasami Horski usiłował przezwyciężyć tę zbyt mówiącą ciszę jakimś banalnym frazesem. Przerzywała mu spojrzeniem:

— Po co? Lepiej tak, jak przedtem!

— Jeszczeby tylko tego brakowało. — ironizowała w myślach z cudną miną — aby mi oświadczył, że mam zęby, jak perły, a usta jak korale! Fi!

Lecz ta rozkoszna cisza stała się w końcu już zbyt męczącą.

Siedli na ławce pod szemrzącą, gderliwą, starą lipą — nieciekawie wcale jej uwag, że o tak spóźnionej porze schodzić się młodym nie wypada.

Położył jej rękę na swojej twarzy. Miał ochotę płakać ze szczęścia. Mówił nie swojemu głosem, wyolbrzymiały jakiś i fantastyczny wśród tej nocy i ciszy, jak wszystko dokoła...

Zatrącił cały swój indywidualizm, swój dowcip towarzyski, dobre wychowanie, swoje stanowiska socjalne i ambicje — przemienił w czarodziejsko w dzieci jednego Boga, z tej samej rodziny: z szelestów nocy, z tych gwiazd, księżycy, robaczek świętojańskich i kwiatów...

Bez nazwiska, bez woli — stali się naraz posłuszni jedynie wyrokowi natury, wobec których buntować się mogli tylko w dzień, kiedy czar pryska, a ambicje, stanowiska socjalne i komfort „ze wszystkimi wygodami” — w obrzydłe kleszcze ich znówuż pochwyci.

— Czy wiesz, dlaczego tu przyszedłaś? — tykał ją śmiało po raz pierwszy, całując jej dłoń. — Czy wiesz dlaczego?

— Nie wiem — odpowiadała, ciężko oddychając, jakby w medyumistycznym transie. — Coś mnie tu ciągnęło.

— To moje pragnienia cię wołały.

— Jakież to uczucie silne! — płoszyła się jego gorącymi objęciami, czując, że nie tylko ramiona ich przywołują się wzajemnie do siebie, lecz i oczy jej nieprzytomne pragną tonąć

w jego oczach, włosy odurzony jego zapachem — tuła się do jego włosów; usta pijane łakną jego ust; wszystkie atomy ich ciała toną w sobie; zgłodniałe żebrzą o pocałunki...

Przycisnął ją, jak swoją własność, do ramienia i tulił jej stworzone do pieszczoł maleńkie rączki z alabastrowego aksamitu w swoich dużych, szorstkich, męskich dłoniach. Wreszcie wargi ich zlepily się...

— Jakże ty masz wonne, słodkie usta! — dyszał nieprzytomny. — Jak czarowny owoc dojrzały! — przypatrywał się w zachwycie jej matowo-białej twarzy, oświetlonej księżycem, i oczom szafirowym; i mówił, jakby w natchnieniu:

— Jakaś ty piękna, Ireno! Ciebie musiały zesłać na ziemię anioły!

— A może szatani? — uśmiechnęła się drażniaco. — Przebywają one i walczą w duszy pospołu z aniołami. A kto z nich zwycięży — niewiadomo?

— Nie, twoja piękność, jak czarowne zioła, upaja w odurzającym szczęściu zapomnienia.

— Bywają i złe zioła. A jeżeli moja piękność, niebezpieczna, jak broń w niewprawnych rękach dziecka, okaże się tkwiącą we mnie samej trucizną, zabójczą, nie tylko dla tych, którzy się do mnie zbliżą, lecz i dla mnie samej? Boję się... — dziecinnie spłoszona odsuwała się od niego.

— Żalujesz, żeś tu przyszła?

— Nie. Ale się boję — wstrząsnęła się, przytulając się do niego. — Weź mnie i broń...

Zamilkli, oddychając ciężko, spojeni miłosnym uściskiem, głowa przy głowie, dłoń w dłoń — upojeni: ona — muskając ją po twarzy jego jasnymi wąsami; on — pochłonięty kaskadą jej hebanowych włosów, w oświetleniu księżycy prawie granatowych.

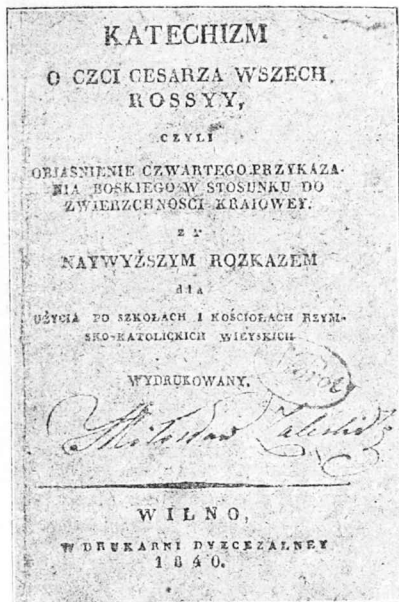
Zanurzeni, jak w falach elektrycznej pół niebiańsko, pół plekielnie rozkosznej kąpieli — zbliżali się wciąż do siebie... Usta ich ponownie zlepily się w pocałunku, w którym łączyły się wszystkie odurzające czary nocy: jaśminy, połączone z leśną sosną i z koszonem sianem, słodycze, wysane przez — motyle ze wszystkich kwiatów... W uścisku tym całowały się nie tylko ich usta, lecz i oczy, palce u rąk, ramiona, włosy, wszystkie atomy ich ciała, drgające od iskier tych pocałunków, z taką potęgą, jakby — za poruszeniem różdżki czarodziejkiej — całował się dokoła nich jednocześnie świat cały.

Dalszy ciąg nastąpi.



Ciekawy dokument z czasów Mikołaja I-go.

Leży przed nami mała książeczka, której tytuł całkowicie brzmi:



Książeczka ta mówi sama za siebie i dlatego, zamiast wszelkich oświeleń szczegółowych, podajemy tu dosłowny jej przedruk *). Korzystamy tu, zdaje się, z *unikatu*, będącego własnością p. Hieronima Wildera, kierownika „Antykwaryatu polskiego” przy ul. Berga.

Książeczka dzieli się na Katechizm większy i Katechizm mniejszy.

KATECHIZM WIĘKSZY.

1. *Pytanie.* *) Jak w duchu religii Chrystusowej uważa się władza panującego nam Cesarza Wszech Rosyi?

Odpowiedź. Uważa się za pochodzącą od BOGA.

2. *P.* Jak to wyprowadzić można z istoty rzeczy?

O. BÓG takie dał przyrodzenie człowiekowi, że sam jeden bez drugich ani być na świecie, ani życia utrzymać, ani czego potrzebuje, wiedzieć, nauczyć się i wykonać nie może. Z innymi zaś połączony może bezpiecznie żyć, wiele wiedzieć i czynić, poznać swoje przeznaczenie i drogę ku niemu wiodącą, poznać obowiązki względem BOGA i ludzi, przez ich wypełnienie doskonalić się,

*) Na karcie tytułowej wypisane nazwisko właściciela — oraz pieczęć z wyrazem *Wtórót* t. j. Dublet, który polecałmy uwadze purystów językowych.

*) W odpisie dajemy ortografię dzisiejszą.

zasługiwać i osiągnąć doczesną i wieczną szczęśliwość. Wlane w duszę każdego uczucie tej potrzeby, sposobności i chęci wyrażnie przemawia: że wola BOSKA jest, ażeby ludzie żyli w społeczności i związku z sobą. Stąd związki domowe i rozmaitych stanów jednych drugim potrzebnych. Temi połączony stoi i utrzymuje się świat cały i składa jakby jeden dom, jedną rodzinę pod rządem Powszechnego Ojca Niebieskiego. Z Jego woli trwając do zamierzonych wieków, dla większego bezpieczeństwa i dobra podzielił się na społeczności większe, narodowymi zwane. Stąd drogie imię Ojczyzny, stąd jej miłość i chęć całości, stąd jej rząd zwyczajnie złożony w rękę Xiążęcia, Króla, Cesarza czyli Panującego MONARCHY. I ten to jest wywód, z którego widzimy, że jak z woli Boga jest człowiek, tak z tejże woli Opatrznej jest społeczność, jest związek i rząd społeczności.

3. *P.* Co według religii należy się CESARZOWI Wszech Rosyi od nas poddanych?

O. Cześć, posłuszeństwo, wierność, podatki, służba, wszelka życzliwość i modlitwa przed BOGIEM. Co wszystko w tych dwóch zamyka się wyrazach: cześć i wierność.

4. *P.* Jaką cześć i jak okazywać?

O. Największą, jaką być może dla człowieka, a to w słowach, w znakach, we wszystkich postępках i czynnościach i w sercu.

5. *P.* Jakie i w czym posłuszeństwo?

O. Posłuszeństwo zupełne w zachowaniu wszelkiego porządku, praw i rozkazów.

6. *P.* W czym i jaka wierność być powinna?

O. Wierność w poleconych urzędach, w pełnieniu służby i wszystkich obowiązków: a to z całego serca i w niczem nieobłudna.

7. *P.* Czy należy płacić podatkę do skarbu Pana naszego CESARZA Wszech Rosyi?

O. Należy bez uchybienia co do ilości i czasu naznaczonego.

8. *P.* Czy jest jakiś obowiązek służby?

O. Ścisły jest obowiązek nie uchylać się, lecz poświęcać siebie, gdzie potrzebuje wola naszego CESARZA, jako to: do służby wojskowej, cywilnej i innych, w stopniach wyższych i niższych.

9. *P.* W czym i jaką życzliwość?

O. W przykładaniu się w miarę stopnia i sił do wspólnego dobra, w nieograniczonej chęci powodzenia dla Ojczyzny naszej, Rosyi, dla CESARZA i całego Domu JEGO.

10. *P.* Czy należy modlić się za CESARZA i Ojczyznę naszą Rosyę?

O. Należy w modlitwach prywatnych i publicznych zalecać CESARZA łaskom BOGA, modlić się za JEGO zdrowie, całość, wszelką pomyślność i zbawienie. To samo i za Ojczyznę, nigdy od całości MONARCHY nieoddzielną.

11. *P.* Cóż się tym obowiązkiem sprzeciwia?

O. Niecześć, nieposłuszeństwo, niewierność, nieżyczliwość, szemranie, zdrada, zamieszanie, bunt.

12. *P.* Ta niecześć i niewierność jest wykrecozeniem w obliczu BOGA?

O. Jest wykroczeniem, grzechem, zbrodnią.

13. *P.* I przeto wedle BOSKIEJ nauki nigdy buntować się lub tajemnie do wywrócenia rządu dążyć nie wolno?

O. Nigdy, ani jawnie, ani tajemnie, ani prosto, ani ubocznie.

14. *P.* Czy krom CESARZA trzeba szanować wszystkie władze i zwierzchności?

O. Trzeba, na te albowiem zła część rządu i te wydziały, razem wzięte, składają całość Najwyższego rządu krajowego; są Namiestnicze, bo zastępują CESARZA, gdzie sam osobiście być, widzieć i działać nie może.

15. *P.* Jakie są pobudki do zachowania tych powinności?

O. Jedne przyrodzone, drugie nadprzyrodzone, czyli z religii BOSKIEJ objawionej wypływające.

16. *P.* Które są pobudki przyrodzone?

O. Oprócz wyrażonych pod wtórem pytaniem, są te jeszcze: że CESARZ jest głową Narodu, jest Ojcem, mającym staranie o dobro poddanych, jakby dzieci swoich, składających jedną spólną Ojczyznę Rosyę — a przez to najgodniejszym czci i wdzięczności, oraz, że od posłuszeństwa i wierności poddanych zależy pokój, bezpieczeństwo, dobro wszystkich szczególnie i powszechne.

17. *P.* Które są pobudki nadprzyrodzone?

O. Te: że CESARZ jest z woli BOGA, jest namiestnikiem BOGA i ministrem, to jest Wykonawcą rządów JEGO na ziemi; że sprzeciwienie się władzy jest sprzeciwieniem się BOSKIEMU rozporządzeniu, od którego wszelka władza pochodzi; że wierność i usługę władzom okazaną BÓG nagradzać a niewierność karać będzie; więc i przykazuje, aby nie dla oka tylko i niepowierzchnownie, nie dla samej bojaźni gniewu ludzkiego, lecz przez sumienie i dla

bojaźni sądu JEGO, władze wszystkie, a najpierwej CESARZA szanować i w szczerości serca posłusznym być, a przez życzliwość modlić się za NIEGO i przełożonych. Potem wyraźnie dodaje, że takie postępowanie oczom JEGO jest przyjemne i upodobane.

18. P. Któreż księgi Pisma Świętego opisują te wszystkie obowiązki i pobudki?

O. Księgi starego i nowego Testamentu, a w szczególności: Psalm, Ewangelia i Listy Apostolskie*).

19. P. Jakiej przykłady w chrześcijaństwie ta nauka stwierdzona?

O. Przykładem samego Chrystusa, który narodził się, żył i umarł pod posłuszeństwem Rzymskiego Cesarza, a w życiu swym wszelkie władze czczył i poddał się bez narzekania nawet niesprawiedliwemu sądowi, który go na śmierć potępił; przykładem świętych Apostołów i pierwszych chrześcijan, którzy szanowali rząd i życzyli mu dobrze, chociaż ich trapił prześladowaniem; nie łączyli się oni ze złe myślącymi, siedzieli w więzieniach za religię, ale nie jak buntownicy, nie jak zdrajcy lub złoceńcy. Świadczą o tem dzieje Apostolskie, świadczą pisma na obronę Chrześcijaństwa podawane do Cesarzów i do Cesarza Rzymskiego, świadczą dzieje Kościoła i świata. Rzecz nader pożądana, aby te piękne dni obitujałej wiary wróciły się do nas i napełniły Kościół Święty tą pociechą, że wierni Chrystusowi Panu wierni są Ojczyźnie i MONARSZE swemu.

20. P. Jak dawny jest w Kościele zwyczaj modlenia się za MONARCHÓW?

O. Od pierwiastków wiary Chrześcijańskiej były składane BOGU publiczne modły za Panujących, za przełożonych, za wszystkie stany, za całość i pokój Ojczyzny. Ten zwyczaj trwał przez wszystkie wieki i dostał się nam w najpiękniejszych starożytnych modlitwach, które w dni uroczyste śpiewamy.

Ta jest wierna nauka Kościoła Świętego, praktyką stwierdzona, o czi i wierności ku MONARSZE.

*) Psalm XIX. Ewangelia Świętego Mateusza w Roz. XXII. — Pierwszy list św. Piotra w Roz. II. List św. Pawła do Efezjan w Rozd. VI. Tęgoż List I do Tymoteusza w Roz. II. List tęgoż do rzymian w Roz. XIII, gdzie te są pamiętne słowa: „Wszelka dusza niechaj będzie poddana wyższym Zwierzchnościom. Albowiem nie masz Zwierzchności jedno od BOGA“.

Katechizm mniejszy jest streszczeniem większego w siedmiu pytańiach i odpowiedziach.

KATECHIZM MNIEJSZY o czi Cesarza Wszech Rosyi.

1. Pytanie. Co w duchu religii Chrystusowej my poddani jesteśmy winni CESARZOWI naszemu Samowładnającemu Wszech Rosyja?

Odpowiedź. Winni jesteście czczyć i kochać CESARZA, okazywać Mu posłuszeństwo i wszelką życzliwość — i modlić się zań do BOGA.

2. P. Oprócz CESARZA czy należy czczyć wszelkie władze i słuchać ich?

O. Należy; bo te sprawują pewną część rządu, w miarę, jak co której jest poruczone, stosownie do praw i porządku.

3. P. Czy należy kochać Ojczyznę naszą, Rosyję?

O. Należy kochać i dobrze jej życzyć i dla niej usługi swe poświęcać według tego, jak przepisuje prawo i wola CESARZA.

4. P. Czy te obowiązki rzeczywiście i wyraźnie podaje religia?

O. Rzeczywiście i wyraźnie w Ewangelii i w innych księgach Pisma Świętego.

5. P. W jaki sposób religia to przykazuje?

O. Przypominając i wrażając mocno Chrześcijanom: że wszelka władza a najpierwej MONARSZA, jest od BOGA ustanowiona, a to dla pokoju, bezpieczeństwa i większego dobra ludzi doczesnego i wiecznego.

6. P. Byłoby grzechem uchybić tej czi i wierności, a uczynić zniewagę i zdradę?

O. Byłoby bardzo ciężkim grzechem. Bo wyraźnie mówi Pismo Święte, że kto się sprzeciwia Zwierzchności, BOSKIEMU postanowieniu sprzeciwia się i ściąga na siebie wieczne potępienie.

7. P. Czy Kościół Święty zwykł modlić się za MONARCHĘ i za wszystkie stany w Ojczyźnie?

O. Jest ten zwyczaj w Kościele od początków Chrześcijaństwa i trwać będzie aż do końca świata, na dowód prawdziwej, sumiennej życzliwości ku MONARSZE, ku dobru wszystkich spólnemu i dla zasługi u PANA BOGA: który oświadczył w Piśmie Świętem, że takie postępowanie i takie modły wiernych są JEMU przyjemne.



PŁYNIE DUCH.

Wszelkie zło na tym padole pochodzi z ogonka — tymcha melancholijnie przeciętny mieszczuch warszawski w dobre okrutnej zawieruchy świata...

Ucieka na wieś, oddycha dzień, dwa, trzy, cały tydzień jeden — zupełną beztroską, beocją bezwzględna, zgoła arkiadyjską egzystencją!

Słyszysz od czasu do czasu wymawiane w różnych odmianach: Rekwizycya, Dostawa, Odstawa... ale słowa te przechodzą koło niego obojętne, nie zatrzymując bliżej jego uwagi, ani psując rosnącego z dnia na dzień apetytu.

Życie płynie mu mlekiem i śmietanką, dzień za dniem toczy się gładko, jak po maśle, siły rosną, niby bielutki chleb pszenny na drożdżach przedwojennych...

Aliści rankiem dnia ósmego zalatują go od kancelaryi gospodarza domu słowa:

— Wczoraj w miasteczku, proszę wielmożnego pana dziedzica, już od siódmej rano do samego bez mała wieczora były się ludziska przed sklepikiem o cukier. Ogonek stał taki długi, kiebly...

Jest ogonek! Trafili i tutaj!...

Niepokój ogarnia warszawianina.

Maluczko — sprowadzi się wślad za ogonkiem drugie, niemniej dla ucha warszawskiego uprzykrzone słowo: komitet...

Zaledwie wymówił, turkot u podjazdu staje się ciałem: z szerokiej bryki wysypują dwie szumiaste lisiury.

— Z ramienia komitetu — — —

Warszawianin, niby ratler-szczurołap, radby w jednej chwili zagrzebać się w kopiec stomy, lub skryć pod podłogę.

Ale komitet ten zgoła nie groźny: zwyczajnie sobie, skromne poświęcenie nowej szkółki wiejskiej, ufundowanej sumptem pospólnym grona i t. d....

Daj Boże zdrowie temu gronu za dobre dzieło!

Mieszczuch wzrusza się i oddycha z ulgą...

Ale turkot u podjazdu dworu wiejskiego, gdy raz się zacznie, trwać może przez dzień cały. Ze to buraki wykopane, wywiezione nawozy, podorywki na ukończeniu...

Z kolei, proszą w pobliżkie sąsiedztwo na skromną herbatkę. Naprawdę — herbatkę. Sami panowie, złoży się może partyjka...

Ale partyjka się nie składa. Nie będzie partyjki. Krąg się natomiast czyni dookoła stołu, poczem sędziwy ogorzały pan zagaja uroczyście:

— Możemyśmy tak, panowie, porozmawiali poważnie o — — —

„Otóż właśnie... mam dość, po uszy, dzień cały!“, jęczy mieszczuch boleśnie refrenem żywcom z Wyspiańskiego, i — wali się poczem w dysputę polityczną!... Przeklina w duchu, złorzeczy, ale przyrzeka i na wtorek następny... Sprawy obywatelskie, rolnicze, potem — dalszy ciąg gawędki... Przyjedzie — ma się rozumieć.

Arkiadyjski plan żywota zniewiezony! Tydzień tylko trwał raj królestwa Beocji. I znikł, „jak pianka wód“...

Sezon, długie wieczory zimowe, potrzeb tyle społecznych po wsiach i mia-

steczkach, nędzy tyle dokoła i niedostatku — — —

— Ach, po czemu bilecik?

Pospiesznie układa mieszczuch najśladzszy z przekwasychnych uśmiezków gentlemiana ze stolicy i chwyta za pugilares.

— Drobnostka. Pan będzie łaskaw tylko przybyć osobiście. Ale koniecznie! Będą tam stoliki...

— Z kwiatami ma się rozumieć? — spieszy z szalejącym uśmiechem domysłowości warszawianin.

— Tak, a drugi z cukierkami i owcami...

— Oczywiście, programy będą również? — iskrzą się warszawianinowi oczy z wściekłego rozrodowania.

— Naturalnie! I pocztówki pamiątkowe, znaczki, obrazki...

— Ach, pocztówki, znaczki, obrazki!

W gorącym entuzjazyzm wprowadza go niemniej projekt przedstawienia dziecięcego dla dzieci przez dzieci i — na dzieci.

— Wspaniałe!...

— A wie pan, będziemy też mieli loteryę fantową na cel — — —

— Loteryę? Cudownie!...

W zapale uniesienia dopomina się o teatr amatorski. Ach, teatr amatorski!... Niepodobna, by miało nie być amatorskiego — — —

— Służymy panu. Ile biletów?...

Właśnie, w najbliższą sobotę, na dochód bursy dla niezamożnych uczniów gimnazjum miejscowego, świeżo założonej przez grono pań — — —

Twarz warszawianina zastyga w zachwycie pełnym — przerażenia...

Poświęcenie szkoły, herbatka polityczna, zabawa na straż ogniową, dobroczynna loterya fantowa, przedstawienie dziecięce na ochronkę, teatr... gdzież tu prowincya, gdzie kąt zapadły, życie sielskie — anielskie?!...

A tak solennie przyrzekał sobie był mieszczuch, wyjeżdżając z Warszawy, że wolnym czasem w długie wiejskie wieczory wykształci się finalnie w brydża!...

Żegnajcie słodkie dni sielskiego Aranjuetu!... Płynie duch — gdzie chce...

B. Gorczyński.

Sny.

Śród czarów cudnych sny różowe,

O witam, witam was!

Splyćcie na starca siwą głowę

W ten smutny zimy czas!

Zima śle długiej nocy mroki,

Ma jakiś dziwny czar...

Ma powab wspomnień swój głęboki—

Ciche stapanie mar...

Na głowy starców szronem prószy

Czas, który szybko biegnie;

Mówi urokiem swym do duszy

Ten biały, jasny śnieg...

Minęło wiosny upojenie,

Które na kwiatkach śni,

Zostały chwil ubiegłych cienie,

Czary minionych dni...

Antoni Pilecki.

CIEKAWE SPOTKANIE.

Na przyjęciu legionów w hotelu Europejskim d. 6 listopada tymczasowy komendant hr. Szeptycki przywołał pułkownika Berbeckiego do raportu. Berbecki komunikował o ranach swoich, odniesionych na polach bitew. Komendant hr. Szeptycki i pułk. Berbecki są jednak już starymi znajomymi. Poznali się jeszcze na polach Mandżuryi. Z racji tej zamieszczamy ten artykuł: rzuca on ciekawe światło na wojskowe zdolności pułk. Berbeckiego.

Przymaszerowaliśmy pod wieczór na małą stacyjkę pod Kowlem. Chłopcy z radością myśleli o tem, że dzięki wycofaniu Legionów z bagnisk, piachów i lasów Polesia Wolyńskiego, czeka strudzone ciała nasze dłuższy wypoczynek.

Czekaliśmy na przybycie pociągu transportowego, czyniąc najrozmaitsze uwagi o przypuszczalnem miejscu naszego najbliższego „wylądowania”.

Wtem rozległ się tętent kilkunastu cwałujących koni. Przybywał pułk. Szeptycki, zastępczo prowadzący Komendę Legionów.

Za chwilę dorodna postać pułkownika Szeptyckiego widniała już pośrodku oficerskiego koła z 5 pułku piechoty, gdzie podpułk. Berbecki przedstawiał swoich „zuchowatych”.

— A my się nie od dziś znamy, słyżę, jak mówi brygadyer Szeptycki do podpułkownika. Wszak pamięta pan, w sztabie armii Kuropatka widywaliśmy się i rozmawiali nieraz podczas wojny rosyjsko-japońskiej.

Istotnie w naszych szeregach dziwne się czasem spotkania zdarzają. Właśnie przed kilku dniami spotkałem się z moim znajomym, który aż z Chili przybył do Legionów, ale spotkanie dwóch pułkowników więcej mnie zaciekało, a będąc mimowolnym świadkiem ich rozmowy, zebrałem garść ciekawych szczegółów, rzucających pewne światło na wartość, wojskową i bojową naszych wodzów legionowych.

* * *

W roku 1904-ym na początku wojny japońsko-rosyjskiej pułk, do którego należał Leon Berbecki w randze porucznika, dowodzącego rotą (kompanią), wchodził w skład 31-ej dywizyi, jako część 2-ej brygady, zmobilizowanej w Nowo-Kijewsku nad Oceanem Spokojnym.

Po bitwie nad Jalu wysłano spiesznie 31-ą dywizję na południowy front operacyi, jako rezerwy armii Kuropatka. Druga brygada tej dywizyi zostaje „gwardyą Kuropatka” i jako taka przydziela dzień w dzień służbą kompanię do pełnienia wart przy pociągu, w którym mieszkał Kuropatkin ze swoim sztabem. Przy sztabie głównodowodzącego wojsk rosyjskich jednym z *attachés* cudzoziemskich sztabów był kap. sztabu armii austro-węgierskiej, hr. Stanisław Szeptycki. Widziano hr. w boju pod Wafangon, studyował on pilnie działania armii walczącej do wielkiej bitwy pod Mukdenem włącznie.

Nic więc dziwnego, że dnia pewnego, kiedy służbę wart pełniła kompania por. Berbeckiego, ten ostatni, zasiadając przy wspólnym stole sztabowym, poznał *attaché* armii austro-węgierskiej.

Lecz prędko skończyły się wczasy 2-ej brygady. Pułk 127-y a w nim 10-a

rota por. Berbeckiego ruszyły w bój, na ironie olbrzymich zmagani pod Mukdenem.

Austro-węgierski *attaché*, hr. Szeptycki, myślał, że już nie spotka w swem życiu por. Leona Berbeckiego.

Alści raz jeszcze w ciągu wojny rosyjsko-japońskiej spotkały się ich drogi.

W piekielnych zaiste zapasach, w kulminacyjnym punkcie przesilenia klęski mukdeńskiej kap. hr. Szeptycki znajduje się przy sztabie 31-ej dywizyi, osłaniającej tyły cofającej się 2-ej armii rosyjskiej.

Generał tej dywizyi Wasiliew szczególnie uwagę zwrócił na młodego porucznika 127-go pułku piechoty, którego rota dzielnie odparła wściekle ataki japończyków.

Podczas chwilowej przerwy w boju, w godzinach wieczornych 20-go lutego, otrzymuje ten młody porucznik rozkaz stawienia się w komendzie sztabu dywizyi.

Porucznikiem tym był Leon Berbecki. „Obejmie pan komendę nad tylną strażą mojej dywizyi, która cofa się dziś o godz. 8-ej wieczorem. Pański oddział, złożony z sześciu rot piechoty, 40 kozaków i 2 dział konnej artyleryi, wycofa się dopiero o godz. 2-ej w nocy. Liczę na pana — brzmiała dyspozycya gen. Wasiliewa”.

Porucznik Berbecki zasalutował i spojrzaniem swoim spotkał ciekawy wzrok *attaché* austro-węgierskiej armii.

* * *

— Wie pan, co rzekł do mnie po wyjściu pana gen. Wasiljew.

— Nie, panie brygadyerze, skądże?

— Otóż powiedział mi: — To pański rodak, najdzielniejszy oficer w mojej dywizyi.

* * *

I teraz na malej, poszarpanej zębem wojny europejskiej stacyjce spotykają się ci dwaj ludzie w Polskim Korpusie Posiłkowym, w zaraniu utworzenia armii Niepodległego Państwa Polskiego.

Na piersiach obu wojskowych widnieją różnobarwne kokardki orderów austriackich i pruskich. Nie widać licznych orderów rosyjskich, które zdobiły mundur obu wojskowych. Stoją igwierzają przyjaźnie:

Leon Berbecki, pułkownik 1-ej brygady Józefa Piłsudskiego, i Stanisław hr. Szeptycki, pułkownik głównego sztabu armii austro-węgierskiej, obecnie stojący jako zastępca na czele Legionów Polskich.

Znajomość zawarta na polach Mandżuryi trwa i trwać będzie przy formowaniu odradzającej się Armii Polskiej.



Najwyższe prawo.

12

POWIEŚĆ.

Ogrody były puste, jakby zanurzone w sennej ciszy, którą przerywał tylko świergot ptaków pomiędzy drzewami i melancholijny krzyk kani, krążącej nad niemi w rozprężonym, wanilią pachnącem powietrzu. Upał był straszliwy; iście azyatycka ocieźliwość panowała dokoła; niebo miało typowo-wschodnią lazurową barwę, giętkie gałęzie palm zwieszały się nieruchomie, jakby zastygłe.

Hamakhan poszedł zwolna milczącą, czerwonym piaskiem wysypaną aleją, po obu stronach niską, żelazną baryerą obwiedzioną. Wzdłuż tych baryer rozpięte na drucianych łukach kwitły i woniały różnokolorowe pnącze.

Pierś Hamakhana wezbrała rozkoszą, gdy stąpił tak bez szelestu po miękkim, czerwonym gruncie.

Tu, w takich ogrodach, niedostępnych anglikom, spotkać się można z prawdziwą pięknnością wschodniej natury i pathańczyk wyczuwał to piękno z całym napięciem wrażliwych nerwów i zmysłów swojej rasy. Ta wonna cisza, ten wyiskrzony błękit w górze, te wielkie kwiaty, chylące swe barwne kielichy w nieruchomem, palnem powietrzu, szelesty ptasich skrzydeł, przelatujących z palmy na palmę, wszystko to zdawało się mówić mu:

— Jesteś młody, jesteś kochany; żyj, kochaj, używaj!

Szedł więc rozradowany i swobodny, zachwycając się kwiatami i owocami, zwieszającemi się wzdłuż wąskiej alei. Pragnienie mu tylko dokuczało; skwarny pył pustyni wysuszył mu gardło i nozdrza; sam z siebie jednak nie byłby nigdy sięgnął po żadną z tych soczystych kul, tak ponętnie błyszczących pośród liści.

Dziwił się tylko, że nie widzi żadnych przygotowań do zapowiedzianej zabawy, że wszędzie tak pusto. Pomyślał jednak, że musi być jeszcze za wcześnie, i spokojnie mijął jedną uliczkę za drugą, aż raptem znalazł się przed domem.

Był to biały, niski budynek o płaskim dachu. Szeroki, marmurowy taras biegł wzdłuż całego frontu, mając po obu końcach po kilka stopni łączących go z ogrodem. Okna jednej połowy domu były szczelnie zasłonięte żaluzjami, przedziwnej, ażurowej roboty, i Hamakhan uśmie-

chnął się mimowoli, poznawszy po tem, że to są pokoje kobiet.

— Siryan może mieć wszystkie piękności Kaszmiru, ale ja nie pomieniabym się z nim na moją angielską żonę — pomyślał i serce zabiło mu wielkim przypiływem miłości dla tej białej kobiety.

Widząc, że główne drzwi stoją otworem, Hamakhan skierował się ku nim i właściwym mu dumnym, swobodnym krokiem wszedł do środka.

Biało ubrany odzwierciwiał zbliżył się na jego spotkanie, a usłyszawszy imię Hamakhana, złożył mu głęboki salaam i powierzył drugiemu słudze, stojącemu w głębi.

Ten poprowadził go przez szereg pokoi, po puszystych dywanach, uginających się miętko pod ich bosem stopami. Fałdy bogatych, błyszczących zasłon opadały za nim z jedwabistym szelestem, pozatem panowała najgłębsza cisza.

Dom był tak starannie zabezpieczony od słońca, że w komnatach było prawie mroczno, i Hamakhana zaczynał już nużyć ten męczący pochód, gdy nagle sługa, rozchyliwszy złociste frendzle zasłony jedną ręką, cofnął się i drugą dał znak Hamakhanowi, żeby wszedł. Pathańczyk usłuchał i znalazł się w obecności właściciela tej książęcej siedziby, a oddawszy mu ukłon, stanął i czekał na tle leciutko kołyszącej się złocistej zasłony.

Pokój, do którego wszedł, był niewielki, obwieszony wspaniałemi makatami, o małych, wysoko w górze umieszczonych oknach, przez których ażurowe żaluzje sączyły się delikatne, przyćmione światło.

W głębi na szerokiej sofie z błękitnego aksamitu bogato haftowanej złotem leżał Siryan i jednym spojrzeniem objął postać gościa. Na widok niezwyklej piękności i królewskiej postawy młodego pathańczyka oczy mu błysnęły.

Osobiście było mu to obojętnem, ale jego przebiegły, orientalny mózg wyprowadził stąd wnet pożądane wnioski. Ta nadzwyczajna, wyjątkowa uroda młodzieńca była najlepszym potwierdzeniem pogłosek, jakie obłyły się o uszy Siryana, a jakim nie bardzo wierzył.

Jakże! Angielka! biała kobieta, żyjąca jak mużulmanka za ekranem w chacie ubogiego wyplatacza mat!

Mogła być jaśniejszą od innych; może nawet bardzo piękną, ale białą?...

I ta myśl, ta wizja kobiety z tej potężnej, białej rasy rozpalala wyobraźnię Siryana. A w dodatku miała to być kobieta znacznego rodu! Za wszystkie bogactwa swoje nie mógłby takiej kupić! Ach! mieć taką w haremie!...

I dlatego nie wierzył, żeby ubogi wyplatacz mat mógł być posiadaczem podobnego skarbu.

Ale teraz, gdy patrzył na młodego pathańczyka, na jego cudne kształty, na rysy jakby w ciemnym marmurze rzeźbione, Siryan, znawca kobiet, rozpoznał wnet, że nie było nic nieprawdopodobnego w tych pogłoskach, i pierś wezbrała mu nadzieją, a serce zabiło gwałtownie. Czyżby marzenie jego było tak blizkie urzeczywistnienia?

Wstał, sam dobrze zbudowany mężczyzna, piękny jeszcze pomimo swoich czterdziestu lat, i wskazał pathańczykowi niskie poduszkowe siedzenie naprzeciwko siebie.

Hamakhan usiadł z właściwym mu swobodnym wdziękiem, bystrej oczyma obejmując cały pokój i postać Siryana.

Jasnym mu się już stało, że nie będzie żadnej zabawy ani tańców, i że go tu sprowadzono pod fałszywym pozorem, dla jakiejś innej przyczyny, zapewne nie mającej jego dobra na względzie; ale był nawskroś odważnym, dziką odwagą swojej rasy, i cierpliwym czysto wschodnią cierpliwością. Usiadł więc spokojnie i czekał z ręką na głowni długiego noża, ukrytego w fałdach luźnej odzieży.

Siryan, jak wszyscy ludzie Wschodu, nie spieszył się z przystąpieniem wprost do rzeczy; zaczął więc rozmawiać o obojętnych przedmiotach. Hamakhan, spodziewając się tego wstępu, czekał spokojnie i słuchał. Służba przyniosła kawę, słodycze i fajki, a Siryan mówił wciąż swobodnym, kwiecistym stylem.

Hamakhan, który uszedłszy tyle drogi w najgorętszą porę dnia, odczuwał teraz trochę zmęczenia, rad był odpocząć w tym chłodnym, wonnym pokoju, i bez żadnej obawy, zaciekawiony tylko, pił kawę, dowierzając swemu podniebieniu, że ostrzegłoby go, gdyby w napoju tym znajdowała się jaka podejrzana domieszka, i słuchał spokojnie gadaniny swego gospodarza.

Siryan pragnął usłyszeć zdanie pathańczyka o swoich ogrodach i domu. Hamakhan odpowiedział z młodzieńczym zapalem, że ogrody oczarowały go, a dom wywarł na nim wielkie wrażenie; „zwłaszcza“, dodał zaśmiewszy się perliście i z figlarnie-

mi ognikami w żrenicach, „ta jego połowa, która dotyka do klombu granatów i ma nad sobą dwie zlociste kopyły“.

Ta połowa to był harem i zgodnie z etykietą Wschodu, Hamakhanowi nie wypadało napomykać o tem; ale uczynił to rozmyślnie, odgadywał bowiem, że coś erotycznego kryje się na dnie całej tej czezej paplaniny i pragnął jaknajprędzej dotrzeć do jądra sprawy.

Jakoż Siryan westchnął ciężko i pochylając się ku gościowi, rzekł zniżonym głosem:

— Ach! cóż znaczy wszystko to, co posiadam za temi murami, w porównaniu z klejnotem, jaki mój najmilszy przyjaciel kryje w swojej chacie.

Na te słowa gorąca krew pathańczyka kipiątkiem zawrzała mu w żyłach. Błyskawicznie zrozumiał wszystko i ogarnęła go wściekłość. Jeszcze chwila, a byłby się zerwał z miejsca, błysnął nożem, którego rekojęść dłoń jego ścisnęła konwulsyjnie w fałdach szarawarów, i jednym zamachem stracił głowę z tego tłustego karku!

Więc to była tajemnica tych wszystkich względów i łask! Oko tego człowieka spoczęło na jego białym kwiecie, lub o ucho obity mu się jego pochwały, i zapragnął go posiadać!

Dla Hamakhana, w którym miłość dla Dory przerodziła się w rodzaj zaślepiętego kultu, sama myśl, że mógłby ją stracić, że mogliby mu ją wyrzucić, była wprost nie do zniesienia. Czuł, że wprzód dałby się porąbać na kawałki, nim jakaś świętokradzka ręka sięgnęłaby po skarb, którym go Allah obdarzył.

Ale pohamował się. Wrodzony rasowy spryt i chytryść przysły mu z pomocą. Zrozumiał, że trzeba udawać i podstęp kłamstwem i wybiegamą zwalczać. Siedział więc, jak poprzednio, spokojny i pełen godności, ale cała młodzieńcza wesołość znikła mu z oblicza; usta zacisnęły się, i dwie głębokie bruzdy zarysowały się dokoła nich, nadając twarzy wyraz nieubłaganego okrucieństwa.

Odstawił filiżankę z niedopitą kawą i rozłożył ręce lekceważącym ruchem.

— Cóż jedna czarna żona znaczyć może w porównaniu z setką twoich kaszmirskich piękności, Siryanie — rzekł, patrząc mu prosto w oczy, i Siryan zdumiał się powadze i godnością, jaką nagle przybrało to wiośniane oblicze. Wesoły, roztrzepany młodzieńczyk gdzieś zniknął, a jego miejsce zajął dojrzały, uczuć swych i czynów świadomy mężczyzna.

— Czarna? Ach! nie czarna, mój przyjacielu! Zgoła coś innego opowiadają w bazarze. Księżyc na pełni nie jest tak jasnym; perła w muszli tak białą, jak ta twarz i postać, którą Hamakhan kryje za ekranem w swojej chacie. Powiadają — czy wiesz, co powiadają? — i tu Siryan zniżył głos i pochylił się ku Hamakhan'owi, mimowolj rozejrzawszy się dokoła, gdyż to, co miał rzec, było tak dziwnem, tak nieprawdopodobnem, tak nawet bezbożnem, że Siryan zląkł się, aby go los nie ukarał za powtarzanie takich herezyi; ale żądza i ciekawość zwyciężyły; dokończył więc prawie szeptem:

— Powiadają, że twoja żona jest angiellką i córka sahibā!

Hamakhan, który już odzyskał zwykłą zimną krew i wiedział, jak mu postąpić wypada, odrzucił głowę w tył i wybuchnął doskonale udanym, wesołym, niedbałym śmiechem.

— Ach! czego nie opowiadają w bazarze — rzekł żartobliwie, a ta żartobliwość nie przypadła wcale Siryanowi do smaku — pozwalają sobie nawet drwić z wielkiego Siryana, wiedząc, jak on przepada za kobietami. Moja żona angiellką? Ja wypłatacz mat miałbym angiellkę za żonę? Alboż córki sahibów poślubiają ubogich wypłataczy mat, którzy chodzą boso w pyłe bazaru? Dobry sobie żart! Jeszcze takiego nie słyszałem! I Siryan dał mu wiarę? Ha! ha! ha!

I zaśmiał się znowu, jakgdyby serdecznie rozweselony.

A komedję tę odegrał z taką swobodą i naturalnością, że Siryan stropiony, patrzył na niego, sam nie wiedząc, co ma myśleć. Historia ta była tak nieprawdopodobną, że może istotnie zadrwiono sobie z niego!

Ano! wysłańcy jego niezadługo powrócą i wtedy dowie się, jak rzeczy stoją, a tymczasem trzeba próbować wybadać grunt ostrożnie. Odpowiedzi Hamakhana były może tylko zręcznymi kłamstwami. Tak przemysłiwając, Siryan kręcił się niespokojnie na sofie i dla ukrycia pomieszczenia zaciągnął się dymem ze wspaniałej, złotem inkrustowanej fajki z różanego drzewa.

Z chwilą, gdy Hamakhan przestąpił próg Siryanowej siedziby, wyprawiono, stosownie do wydanych poprzednio rozkazów, dwóch posłańców, by ci odszukali dom wypłatacza mat i w jakikolwiek sposób, bez użycia gwałtu, zbadali, jakie się tam znajdują kobiety i jakiego są koloru. Gdyby się pokazało, że istotnie jest pomiędzy nimi biała kobieta, Siryan zamierzał (coprawda nie pokładając wielkiej nadziei w powodzenie tego

przedsięwzięcia), kupić ją od niego i nie targować się o cenę.

Gdyby mu się to nie udało, miał go zatrzymać u siebie aż do nocy, a potem w ciemnościach pustyni pchnięcie nożem w plecy załatwiłoby całą sprawę. Pod osłoną tej samej nocy porwanoby białą kobietę z osamotnionej chaty, i niktby się nie dowiedział, kto zamordował wypłatacza mat, w razie gdyby znaleziono jego ciało.

Ale jeśli, co było prawdopodobniejszem, wysłańcy wróciliby z wiadomością, że cała ta historia jest zmyśleniem, Hamakhan mógł wracać do siebie w spokoju. Poczóż na próżno rozlewać czyjąś krew, skoro nie na tem nie było można zyskać.

Na inkrustowanym stoliku przed sofą stała owalna szkatulka. Siryan wziął ją i otworzył, a gdy światło padło do środka, alabastrowe ścianki szkatulki zaróżowiły się i błysnęły.

Hamakhan spojrzął ciekawie i zobaczył, że była ona do połowy wypełnioną wspaniałe rznietemi rubinami.

Siryan wyjął kilka i położył na dłoni, na której wyglądały, jak wielkie krople krwi.

— Hamakhanie, nagadałeś mi kłamstw — zauważył Siryan pogodnie. — Ja wiem napewno, że masz białą żonę. Mógłbym ci ją zabrać, ale jestem człowiekiem sprawiedliwym i nikogo nie krzywdzę. Za tę szkatulkę kupisz sobie sto żon i dom tak piękny, jak ten. Weź ją, udaj się w spokoju do Peshawuru i kup tam, co zechcesz.

Twarz Hamakhana oblokła się niewysłowioną pogardą.

— Jesteś głupi, Siryanie, jeżeli wierzysz podobnym bredniom — odpowiedział. — To prawda, że moja żona ma jaśniejszą skórę, niż wiele innych, więc stare baby plotą głupstwa o księżycu i o perle; ale zdrowy rozsądek powinien ci być powiedziec, że nie może być ani angiellką, ani białą. Tak czy owak, jest moją i moją pozostanie. Nie potrzebuję nic od ciebie; ani twoich klejnotów, ani twego domu. Jestem pathańczyk.

Za całą odpowiedź Siryan wyspał rubiny napowrót do szkatulki i położył ją na kolanach swego gościa. Osłepiający blask drogich kamieni padł w oczy Hamakhana; on jednak pogardliwie zsunął szkatulkę z kolan na stolik i wstał otrząsnawszy fałdy odzieży, jakgdyby chciał strząsnąć z siebie coś nieczystego.

— Nie znasz pathańczyków, Siryanie — rzekł z dumnym uśmiechem. — Za wszystkie klejnoty i palące Indji nie oddałbym ci swojej żony. Salaam!

I z temi słowy postąpił ku drzwiom.

Siryan, milcząc ponuro, nie zatrzymywał go. Hamakhan rozsunął złocistą zasłonę i wyszedł.

U głównego wnijsia nie zastał swojego obuwia, które tam zostawił. wyszedł więc bosy i wkrótce królewską jego postać zniknęła pośród drzew.

Siryan śledził go wzrokiem z ukrycia, uśmiechając się zjadliwie. Wiedział, że daleko nie zajdzie, bo wszystkie bramy i furtki w tym wysokim białym murze były już od dawna pozamykane.

Hamakhan, nie domyślający się niczego, szedł szybko z twarzą pogodną, choć krew w nim wrzała wściekłością; ale z wolna otaczająca go piękna natura i słodka woń kwiatów podziały na niego kojąco. Wieczór już był blizki, promienie słońca nabierały głębszych, złocistych tonów; delikatna, ametystowa mgła podnosiła się ku przejrzytemu niebu, a białe łopaty Siryanowego pałacu zaczęły płonąć różowo, niby lica rozkochanej dziewczyny.

* * *

Po odejściu Hamakhana Dora zamknęła ekran i założyła wnijsia sztabą. Potem siadła na ziemi w ciemności i zaczęła rozmyślać, zdjęta jakimś szczególnym niepokojem.

Wyrzucała sobie, że mu pozwoliła pójść, skoro wewnętrznym głosem ostrzegła ją, że na dnie tego „wszystkiego kryje się jakieś niebezpieczeństwo, jakiś podstęp. Kochająca kobieta posiada szczególnie instynkt, jakim wyczuwa bodaj najdalej i najtajniejsze zło, jakie jej ukochanemu przygodzić się może.

Instynkt ten nie dawał Dorze spokoju, odkąd usłyszała o zaproszeniach Siryana, i tylko myśli, że jednak może się mylić, że jeżeli przeszkodzi Hamakhanowi udać się na tę wrzekomą zabawę, a pokaże się potem, że istotnie były tańce i biesiada, to on może mieć do niej żal, że go pozbawiła takiej wielkiej uciechy, jedynie ta myśl zamknęła jej usta. Znała swój wpływ nad nim; wiedziała, że jej każde życzenie było dla niego rozkazem, wiedziała, jak bardzo ufał jej rozumowi, jaką wiarę pokładał w jej charakter i jej prawdomówność i dlatego właśnie tylko w najważniejszych okolicznościach korzystała z tej swojej nad nim przewagi.

Dalszy ciąg nastąpi.



Ogólne zasady nauczania.

„Ogólne zasady nauczania z zastosowaniem do potrzeb szkoły elementarnej” napisała ruchliwa na polu pedagogii działaczka, p. Aniela Szcówna. Książka ta wyszła, jako tom III Biblioteki nauczyciela. Zaleca się ona dużą znajomością przedmiotu i metodyką wykładu, lecz miejscami grzeszy korektą. Na przykład na str. 77 w rozdziale „Jak uczynić naukę interesującą” p. Szcówna mówi: „Należy każdą lekcję oddzielnie uczynić interesującą i starać się o wytworzenie stałego interesu umysłowego w danym kierunku”. Zdanie to można by stanowczo wypowiedzieć poprawniej po polsku. Zapewne chodziło p. Szcównie o wytworzenie stałego zainteresowania umysłowego w danym kierunku, by obudzić uwagę czynną w uczniu. Interes jest rzeczownikiem nieodpowiednio określającym treść, o jaką chodzi. Zresztą książka jest napisana przez pióro fachowe i napewno będzie dobrym podręcznikiem dla nauczycieli ludowych. Rozpoczyna od „pojęcia nauczania, jego celów” i po przez dydaktykę i metodykę, nauki pomocnicze sięga w przynajmniej osobiste nauczyciela. Program nauczania, następstwo i współczesność przedmiotów szkolnych, koncentracja programów, wreszcie umiejętność pobudzenia uwagi ucznia ćwiczenia zdolności — oto te najważniejsze zagadnienia, które zostały poruszone w sposób rzeczowy i naukowy przez p. Szcównę. Autorka kończy swoją pracę powtórzeniem hasła Komisji Edukacyjnej: „Trzeba nauczycielowi jaśniej widzieć rzeczy, znać grunt człowieka, skłonności, namietności, pojętność każdemu człowiekowi właściwą, związek umiejętności ludzkich”.

Biblioteczka szkolna Jakowickiego.

Do użytku szkolnego opracował p. Włodzimierz Gałeczki „Przedświt” Z. Krasieńskiego i „Pana Geldhaba” Aleksandra Fredry. Są to dwa pierwsze tomiiki wydawnictwa p. t. „Biblioteczka szkolna”, którą księgarnia Jakowickiego tworzy dla użytku szkół. Program tej biblioteczki obejmuje wszystkie najznamienniejsze utwory naszych poetów, bajkopisarzy, dramaturgów czy prozaików. Redakcja p. Gałeczkiego przytem daje rękopisy, że wydawnictwa te zostaną dokonane wzorowo, „Przedświt” bowiem poprzedzono rzeczowym, wyczerpującym wstępem, który dla uczniów szkół średnich jest bardzo pożądanym wprowadzeniem w ducha utworu. Co więcej, p. Ga-

łeczki podał też materiały, jakimi się posługiwał, a więc uczeń będzie mógł, idąc z temi wskazówkami, uzupełnić swoje wiadomości w tym przedmiocie. Szkoda tylko, że nie zaznaczono pracy prof. J. Kleinera p. t. „Dwie myśli Zygmunta Krasieńskiego”. I „Pan Geldhab” też otrzymał sumienną oprawę. Życiorys Fredry, krótka charakterystyka pisarza oraz analiza Geldhaba składają się na wstęp, który dla ucznia jest niezbędny, jako informacja.

„Biblioteczka szkolna Jakowickiego” powinna w szkolnictwie naszym znaleźć szerokie zastosowanie.

Wrażenia z Ameryki.

P. Konstanty Buszczyński, przemysłowiec cukrowniany galicyjski, zanotował cały szereg interesujących swoich spostrzeżeń, dotyczących Amerykanów. Przyzwyczajony do żółtawej egzystencji galicyjskiej, w Ameryce spotkał się, rozmach i energię, która musi zaimponować każdemu bezwzględnie człowiekowi. Amerykańska wiara w siebie budzi drzemający optymizm, którego tak brak społeczeństwu europejskiemu. Uważa p. Buszczyński za trafne zdanie charakteryzujące Amerykanów, jako „A people of idealists engaged ingreat practical taste” (Naród idealistów zajęty wielkim praktycznym zadaniem). I co więcej p. Buszczyński twierdzi, że „Amerykanie pod względem wartości moralnej i życiowej stoją znacznie wyżej od Europejczyków”. Za przykład stawia Roosevelta z jego tezami „życia wyteżonego”. Mówi on: „Godnym jest człowiek, który wcieli w sobie wysiłek zwycięski, który nigdy nie czyni nic złego bliźniemu, który jest chętny do pomocy przyjacielowi, ale który ma zalety męskie, niezbędne do zwycięstwa”.

Książka p. Buszczyńskiego dla pedagogów społecznych jest bardzo interesującym a obfitym źródłem spostrzeżeń, które oby znalazły zastosowanie wychowawcze. Brak jest nam wiary, optymizmu i siły, które to prowadzą do „zwycięstwa”.

Do artykułu o prof. Juliuszu Kleinerze w ostatnim numerze „Świata” wkraśli się drobne niedokładności. Prof. Treliak mianowicie otrzymał nagrodę Barczewskiego za monografię o Słowackim kilka lat przed ukazaniem się dzieła dra Kleinera o Krasieńskim, powtórnice zaś dostał I-szą nagrodę w r. 1915 za monografię o Zaleskim. Wszystkie trzy wspomniane dzieła nagrodziła Akademia Umiejętności jednomyślnie.

Przy tej sposobności — chcąc uniknąć mylnej interpretacji końcowego ustępu — zaznaczamy, że było życzeniem prof. Kallenbacha, by dr. Kleiner, dawny jego uczeń, który zastępował go w roku ubiegłym w uniwersytecie lwowskim — objął teraz wykłady na Uniwersytecie warszawskim.

